

Rozdział I

O tym, jak to Michał poznał Łukasza

Lenistwo. Jeśli sowę uważano za alegorię mądrości, to ja spokojnie mogłem być alegorią lenistwa. Odkąd napisałem matury na ponad osiemdziesiąt procent, grzałem fotel i przesiadywałem w Internecie, nie robiąc nic produktywnego. Myślałem sobie, że dlaczego miałbym się starać, skoro jestem już *dorośli*. Jakże bardzo się myliłem.

– Michał, możesz się powoli pakować – oznajmiła moja mama pewnego ranka. – Jedziesz do Zaświatów.

Spojrzałem na rodzicielkę sceptycznym wzrokiem. Wiedziałem, że nie chodzi jej o zaświaty w sensie życia po śmierci, lecz o pewną małą wieś (a raczej zadupie), z której pochodziła. Nie odwiedzaliśmy Zaświatów od śmierci babci Stefanii i nie sądziłem, iż jeszcze kiedyś przyjdzie mi się zobaczyć te łąki i pola. Chociaż... Od jej śmierci minęło już sześć lat, a dom stał puściutki. Pewnie ledwo się trzymał.

– Dlaczego nie pojedziesz sama? – rzuciłem, wracając wzrokiem do ekranu.

– Dlatego, że ja nie jadę.

Moje palce zatrzymały się tuż przed klawiszami klawiatury.

– Czekał, dobrze rozumiem? Mam tam pojechać sam? – Mama pokiwała głową. – W jakim celu?

– Zająć się domem.

– Mamo! – wyjęczałem, odstawiając laptop na stół. – Jestem facetem. Fa-ce-tem – podkreśliłem. – Nie znam się na sprzątaniu i doprowadzaniu mieszkań do stanu używalności! Spojrzała na mnie swoimi ciemnymi, przenikliwymi oczami, po czym uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– O szesnastej masz pociąg.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Zostawiła mnie z niejasną sytuacją, nawet nie dając czasu na sprzeciw. Taka właśnie była moja mama. W jej słowniku nie istniało słowo „nie”, a co za tym idzie – wszelkie próby porozumienia kończyły się na jej wygranej. Szkoda, że nie odziedziczyłem po niej tej umiejętności, a jedynie czarne włosy.

Westchnąłem.

Dzieci i ryby głosu nie mają.

Dom babci od dworca dzieliły cztery kilometry. O ile w normalnych warunkach pokonałbym ten dystans truchtem, o tyle z walizką pełną ciuchów było to niewykonalne. Zostałem wykopany – dosłownie! – z domu na dwa – dwa! – miesiące. Ponad sześćdziesiąt dni bez dostępu do Internetu. Sześćdziesiąt dni bez sklepów obsługujących karty. Sześćdziesiąt dni życia na własną rękę.

Idąc, wymyślałem epitafium.

„Zginął, bo musiał. Cześć jego pamięci!”

„Na zawsze w naszej pamięci – ten, którego pochłonął kurz.”

„Nie wszcząwszy buntu, zginął z własnej głupoty.”

Ech...

Jedno musiałem jednak przyznać – krajobrazy rewanzowały wszystkie niedogodności. Gdzie się nie spojrzało, rosła wysoka na półtora metra trawa, której starsi mieszkańcy nie mieli siły się pozbyć. Ściana sosnowego lasu malowała się w oddali, przywołując wspomnienia z dzieciństwa. Oddalone o co najmniej pół kilometra domki sprawiały wrażenie opuszczonych, choć z niektórych kominów sączył się ciemnoszary dym. Konie i krowy pasły się na wykoszonych łąkach, pod rozłożystym dębem spał stary pies, chroniąc się przed słońcem.

Piaskowa ścieżka, którą szedłem, należała do jednej z najczęściej uczęszczanych. Skąd wiedziałem? Kępki trawy były nieliczne, a gałązki, które pospadały z przydrożnych brzołek, połamane. Szosa skończyła się jakiś kilometr wcześniej, a wciąż pozostała mi do przejścia jedna czwarta trasy.

Z posępnego myślenia wyrwał mnie radosny krzyk. Obejrzałem się za siebie i od razu tego pożałowałem. W moją stronę biegł rudowłosy karzełek, a za nim wielki pies rasy husky. Stałem jak wryty, zastanawiając się, który mnie staranuje.

Zamknąłem oczy, czekając na uderzenie, jednocześnie krzywiąc się przygotowany na ból.

– Stało się coś? – zapytał wcześniej drący się głos. Uchyliłem jedno oko.

Rudzielec zatrzymał się jakieś dwa metry przede mną, a pies spokojnie usiadł przy jego nodze. Ciemnobrązowe oczy chłopca wpatrywały się we mnie jak w obrazek, oczekując odpowiedzi. Z wciąż krzywym wyrazem twarzy wyprostowałem się, przybierając dumną pozę. Chciałem pokazać temu dzieciakowi, że powinien szanować starszych. No i chciało mi się nieco śmiać, gdyż ledwo sięgał do mojej brody.

– Nie potrafisz mówić? – znów się odezwał, tym razem przechylając głowę w bok. – Kiedyś czytałem książkę o kolesiu, który nie mówił, bo nie chciał, a potem, pod koniec zaczął śpiewać w jakiejś knajpce i wszystkich zadziwił swoim głosem, i został wielką gwiazdą. A w mojej starej szkole mieliśmy w klasie niewidomą dziewczynkę! I ona miała taką fajną maszynę do pisania, wiesz? Wydawała taki faj...

– Dajże mi dojść do słowa! – krzyknąłem, zirytowany jego niezamykającą się buźką.

– Dobra, dobra, nie bądź taki nerwowy. – Cofnął się o krok, ale pies został na miejscu.

– Skąd jesteś?

– Z miasta – odparłem krótko, ponownie łapiąc za walizkę i ruszając w dalszą podróż.

– Jakiego? – zainteresował się rudzielec, najwyraźniej postanowiwszy towarzyszyć mi w podróży.

– Dużego.

– No nie bądź taki! – wyjęczał. – Niemili ludzie są nefajni.

Zmrużyłem oczy.

– Ja przeprowadziłem się dwa lata temu, wiesz? Na początku myślałem, że zanudzę się na śmierć! Nie ma tu żadnych nastolatków, same dzieci! Ale wtedy mama przygarnęła Logana i...

– Przyjechałem tu tylko na wakacje – wtrąciłem, aby nie robił sobie nadziei na dłuższą znajomość.

– Aż dwa miesiące! Przygarnę cię, nie będziesz sam! Kto z twojej rodziny tutaj mieszka?

Westchnąłem ciężko. Zapowiadał się okropnie długi kilometr drogi. Okropnie długie i uciążliwe sześćdziesiąt dni.

Za jakie grzechy?

Dom babci był duży, ładny i schludny. A przynajmniej takiego go zapamiętałem, kiedy sześć lat temu przyjechałem na pogrzeb. Niestety, grubo się przeliczyłem, choć i tak zastałem stan lepszy od spodziewanego.

Biała farba zaczęła odstawać od ścian, a okna z zewnątrz pokrywała gruba warstwa kurzu. Jedna z okiennic została połamana i jedna z jej części leżała pod starą, nieużywaną budą, do której od razu pobiegł Logan.

A właśnie, wspomniałem, że rudzielec przylazł za mną aż na drugi koniec wsi? Nie? To teraz sprawa jest już jasna.

Wracając jednak do domu: nie było tragicznie. Wszystko dało się naprawić, a ogródek po poświęceniu mu tygodnia powinien przypominać ogródek, nie Puszcę Białowieską. Huśtawkę należało zreperować, by gwoździe w spróchniałym drewnie nikogo nie pokaleczyły. Dach w budzie też postanowiłem załatać, co by jakiś bezpański pies mógł schować się, kiedy nadejdzie jesień i deszczowy sezon.

– Będiesz tu mieszkał całkiem sam? – znów zainteresował się rudzielec. Miałem go serdecznie dość, ale jednocześnie lepiej czułem się w czyimś towarzystwie. Może i znałem okolicę, ale wiele zmieniło się od ostatniej wizyty. Przewodnik i jego pies jakby spadli mi z nieba.

– Ta. To coś dziwnego?

– Ile masz lat? – odpowiedział pytaniem na pytanie, zatrzymując się tuż przede mną, uniemożliwiając wkroczenie do środka.

– Dziewiętnaście – mruknąłem, odsuwając go na bok.

– Bycie pełnoletnim musi być fajne, co? – Ruszył za mną. Starąłem się ignorować jego niezamykające się usta, oceniając stan wnętrza, zwłaszcza mebli. – Ja mam siedemnaście, skończyłem pierwszą klasę liceum. Poszło mi całkiem nieźle, chociaż wiem, że stać mnie na więcej. Mama obiecała wysłać mnie w końcu na wakacje, ale zrezygnowałem. Nie mam ochoty jeździć nigdzie sam, a ona nie ma czasu, bo musi zajmować się gospodarstwem. Babcia i dziadek nie dają sobie rady.

– Czy możesz chociaż przez chwilę nic nie mówić? – krzyknąłem, odwracając się twarzą w jego stronę.

W ciemnych oczach malowało się lekkie przerażenie, rudzielec zastygł bez ruchu z półotwartymi oczami.

– Ciągle gadasz i gadasz, głowa mnie już od tego boli! Nie wiem nawet, jak ci na imię, a zdążyłem poznać połowę życiorysu!

– Łukasz.

– Co? – zdziwiłem się, marszcząc brwi.

– No, nazywam się Łukasz. – Wyglądał tak niewinnie, jakby nie poznał dostatecznie świata. I pewnie tak było. Dwa lata wśród gąszczy pomieszało mu w główce. – A ty?

– Michał – rzuciłem niechętnie.

– Mój stary przyjaciel nazywał się Michał! – Uśmiechnął się szeroko. Musiałem przyznać się przed samym sobą, że rudzielcowi dostała się od życia całkiem przyjemna twarz.

Nigdy nie oszukiwałem samego siebie – podobały mi się dziewczyny, ale bardziej ciągnęło mnie do chłopców. Moja mama nie zawsze patrzyła przychylnie na kolegów, których przyprowadzałem do domu, ale byłem jej synkiem i nie potrafiła przestać kochać. Pogodziła się z faktem, że być może nie doczeka się wnuków i nie zobaczy mnie przed ołtarzem.

Twarz Łukasza była na tyle ładna, że mógłbym zacząć z nim flirtować. Niestety, nie byłem aż tak pusty, by zwracać uwagę tylko na wygląd. Charakter liczył się o wiele bardziej, no i niezamykająca się buźka rudzielca doprowadzała mnie do szewskiej pasji.

– Dobra, dobra, opowiesz mi o tym Michale później, teraz, proszę, postaraj się nic nie mówić – poprosiłem, nie chcąc wyjść na zrzędę.

– Tak jest! – Zasalutował, szczerząc zęby. I rzeczywiście się zamknął. Najwyraźniej bardzo potrzebował kogoś, z kim mógłby porozmawiać. W tym zadupiu mógł co najwyżej wyzalić się kwiatkom.

Dom babci był dość duży jak mieszkającą tam niegdyś samotną staruszkę. Cztery pokoje, salon, kuchnia i łazienka. Większość pomieszczeń potrzebowała jedynie przewietrzenia i wytarcia pleśni w rogach. W jednej z kuchennych szafek znalazłem szczura. Wyrzuciłem go przez okno z myślą, że przygarne jakiegoś dachowca.

Najbardziej brzydziłem się pajaków. Kiedy jeden nagle pojawił się przed moją twarzą, wpadłem na Łukasza i obaj wylądowaliśmy na zakurzonej podłodze. Rudzielec zaczął się śmiać, by potem wziąć tę małą, piekielną istotę w ręce i wynieść na parapet. Szczerzył się przy tym jak głupi.

Dochodziła godzina dwudziesta pierwsza, kiedy z niechęcią wyjąłem z walizki szprotki w oleju. Nie przepadałem za jedzeniem ze sklepu, ale mama przewidziała, że nie będzie mi się chciało fatygować do oddalonego o dobre dwa kilometry sklepu.

Dlaczego tu wszystko musi być tak daleko...?

– Gdzie twoja radość, przyjacielu? – zagadnął Łukasz, odzywając się po raz pierwszy od trzydziestu minut. Zafascynowały go rodzinne portrety, z których zdjął chroniące przed kurzem prześcieradła i zdawał się nie zauważać mojej obecności.

– Nie jestem twoim przyjacielem.

Wtedy rudzielec zrobił coś, czego się nie spodziewałem. Podeszedł i dźgnął mnie palcem wskazującym w policzek. Przyglądałem mu się chwilę, a potem parsknąłem śmiechem.

– Wygląda na to, że najbliższe noce spędzę na czuwaniu, nic tu nie nadaje się do mieszkania na obecną chwilę. Nie zjem dzisiaj kolacji i żołądek nawet nie da mi się

zdrzemnąć na fotelu. A jutro czeka mnie czyszczenie lodówki i spacer do sklepu. – Westchnąłem, opierając głowę o śmierdzącą starością ścianę. – Beznadzieja.

– To chodź do mnie – zaoferował bez zająknięcia. Spojrzałem na niego niepewnie. – Możesz u nas zamieszkać, a jak doprowadzisz któryś z pokoi do stanu używalności, to się przeniesiesz. A mama zawiezie nas jutro do spożywczego.

– Nie będzie miała nic przeciwko sprowadzaniu obcych do domu? – Uniosłem brew.

– A gdzież. – Machnął ręką. – Poza tym babcia robi dzisiaj bułki na parze! Jestem pewien, że pokochasz je tak bardzo jak ja. Dodaje do środka truskawki albo kakao z czekoladą. Wolę te drugie, są bardziej słodsze, ale babcia uważa, że przez nie moje zęby wkrótce przestaną przypominać zęby. Nie rozumiem, o co jej chodzi, skoro myję je dwa razy dziennie. Nie są żółte, nie boją, nic. Ale może się na mnie mści, bo sama nosi sztuczną szczękę.

– Dobra, pójdę z tobą – przerwałem mu, uśmiechając się po raz pierwszy od momentu opuszczenia pociągu. – Tylko wezmę ze sobą kilka rzeczy.